Kwiaty i poezja dla kobiet

Włodzimierz Wójcik

W rozmowie prowadzonej ze mną przed mikrofonem Radia „Rezonans”, redaktor zagadnęła mnie niespodziewanie, stawiając pytanie, czym jest dla mnie kobieta. Muszę przyznać, że strzał był przedni… Sądzę jednak, że z sytuacji tej wyszedłem obronną ręką. Po kilkusekundowym zastanowieniu się powiedziałem coś w tym rodzaju: Kobieta jest tym samym, co mężczyzna, ale jednocześnie – czymś więcej.

Podtrzymuję ten sąd do dzisiaj i jestem przekonany, że zasadniczo nie zmieni się on i w przyszłości. Żyję przecież na tym świecie kilka dziesięcioleci i uważnie obserwuję rytm naszej egzystencji człowieczej. Podziwiam tedy w kobietach – zarówno tych prostych jak również należących do elit intelektualno-artystycznych – szczególny

zasób mądrości życiowej. Jest to swego rodzaju atawizm. Potrafią one, dzięki fenomenalnej cierpliwości, znosić przeciwności losu, przechodzić przez nawałnice nieszczęść, opanowywać szarzyznę życia, godzić pracę zawodową z pielęgnowaniem swojskiego klimatu w domowym gnieździe. Wszystkie są ważne. Te, niejako bezimienne w dziejach ludzkich, co piorą bieliznę, sprzątają i gotują, znoszą nasze, „chłopskie" humory i męskie histerie, jak i te, których nazwiska zapisały się w dziejach świata: legendarna Wanda, co nie chciała Niemca, polska królowa Jadwiga, bohaterska Dziewica Orleańska, Maria Skłodowska-Curie, Eliza Orzeszkowa, Konopnicka, Dąbrowska, Nałkowska; prawdziwa „matka", która z Poręby Wielkiej szła pieszo do Krakowa, aby przyszłemu pisarzowi, Władysławowi Orkanowi zanieść trochę prostej strawy góralskiej; Olga Boznańska, Maria Jasnorzewska-Palikowska, Wisława Szymborska, Wanda Wiłkomirska, Halina Czerny-Stefańska… Lekarki, pielęgniarki, urzędniczki, nauczycielki, konstruktorki, dźwigowe. Piękne nazwiska takich wspaniałych kobiet, które wniosły dobro i piękno do skarbnicy świata, można wymieniać dosłownie bez końca…

Na ósmy dzień marca, na przedwiośniu, zwykle wręczamy kobietom kwiaty. Nawiasem mówiąc, nie zaszkodzi wręczać ich im przez cały rok. Rzecz jednak nie w samych kwiatach, ale w sposobie ich wręczania. Warto baczyć, aby nie otrzeć się o groteskę i surrealizm. Jestem przekonany, że do przeszłości należą fakty, kiedy to w niektórych instytucjach czy zakładach pracy za pokwitowaniem przekazywano pracownicom gotówkę na kupienie okolicznościowej czekolady. Nie ma już zapewne tych kierowników „personalnych", którzy w pośpiechu, znękani i umęczeni, biegali od pokoju do pokoju, by przydzielić pracownicy tradycyjny goździk. Masówki nie są wskazane. Każda kobieta – dzięki Bogu – jest inna. Zasługuje na indywidualne traktowanie. Z tego formuje się prawdziwe piękno życia.

Zapraszam w czarowny świat „Łąki" Bolesława Leśmiana, „Kwiatów polskich" Juliana Tuwima, tomików Emila Zegadłowicza „Dziewanny" i „Wrzosy". W tym ostatnim zbiorku mamy piękny liryk pod tytułem „Gdziekolwiek". Warto przytoczyć z niego parę wersów. Oto one:

Gdziekolwiek zwrócę oczy – widzę tylko Ciebie!

łąką jesteś i rzeką, i słońcem na niebie. (…)

W dolinach zbożne łany, czy na szczytach chmury –

wszystko ma wonną słodkość i czar Twojej skóry. (…)

Tajemnica rozkoszą i szałem spowita

o jutrzni ponad światem różami zakwita.

Wejdźmy także w kwietny świat utworu prozatorskiego innego już twórcy. Przeczytajmy fragment:

Opasuję się powojami kwitnącymi i wyką, na głowę uplatam wielki, ciężki wieniec z bławatków i kładę się na polanie leśnej twarzą do ziemi. Jest pogodne popołudnie letnie, upał. Górą między sosnami idzie cichy szum – przeciągły, trochę smutny; wiotkie, delikatne brzozy lekko szeleszczą listkami. Ale samego wiatru nie czuć. (…) Ciepło jest i cicho. Macierzanka pachnie. (…) Ożyły kwiaty ze szmaragdowych, ze srebrnych w słońcu łąk – i same plotą się w wieńce, plotą się w barwny, rozmigotany krąg… (…)

Zapytamy może, skąd te piękne zdania, którymi kończę niniejszy felieton. Nie jest trudno zgadnąć. Pochodzą od samej Zofii Nałkowskiej; z jej debiutanckiej powieści o wymownym tytule *Kobiety*. To właśnie moje pierwsze prace naukowe jako historyka literatury, dotyczyły jej twórczości. Widać tedy, że bez kobiet ani rusz. Także w pracy badawczej i pisarskiej…

Czesława Straszewicza język hiszpańsko-polski. Część 2.

Florian Śmieja

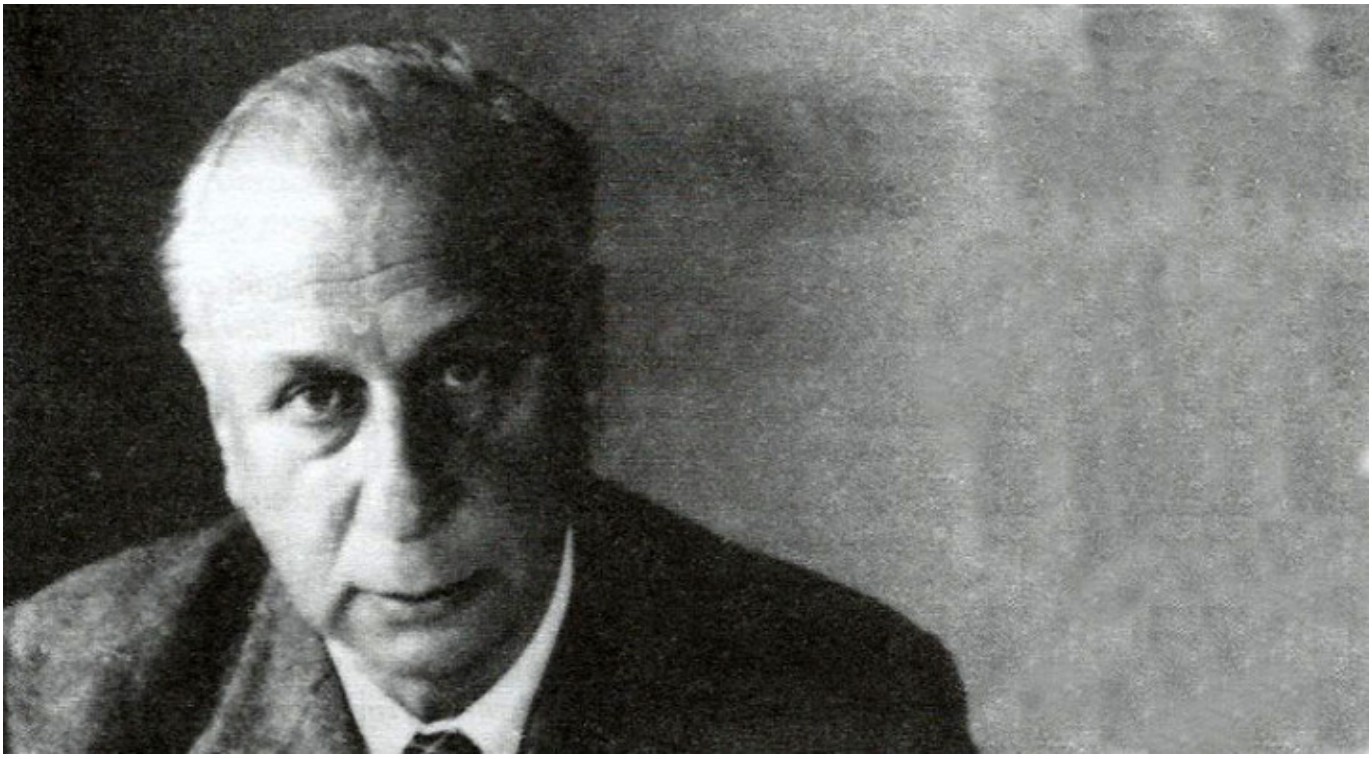

Czesław Straszewicz, fot. wyd. Arcana, www.polskieradio.pl

W „Katedrze sandwiczów" Straszewicz ukazał Polaków na ziemi urugwajskiej otoczonych przez żywioł hiszpański względnie latynoski i kazał im mówić swoistym językiem, który w dużej mierze stanowi o uroku tej osobliwej prozy.

W Punta Chata (Montevideo) kilku polskich marynarzy zeszło ze statku „Feliks Dzierżyński" i znalazło się wśród ludzi posługujących się nieznanym im językiem hiszpańskim. Chociaż znali już garść uniwersalnych słów i powiedzeń angielskich, takich jak „bicz" (*beach* – plaża, wybrzeże morskie), „go tu hel" *(go to hell* – idź do diabła), „fifty-fifty" (pół na pół), „tomigany (*Tommy gun* – pistolet maszynowy), „nersa" (*nurse* – pielęgniarka), „dżadż" *(judge* – sędzia), „biczykon" (*beach comber* – włóczący się po brzegu, włóczęga), „alrajt" (*all right* – w porządku), „mit-paj" (*meat pie* – pasztet, zapiekane mięso) czy „darling" (kochanie) – zmuszeni byli do pilnego nauczenia się najbardziej niezbędnych dla przeżycia i funkcjonowania w nowym otoczeniu hiszpańskich wyrażeń.

Były to w pierwszym rzędzie nazwy ichtiologiczne: *pejerey, bagrey, palomiya, boriquita* i *anchoa* pisane na przemian po hiszpańsku i fonetycznie po polsku*: peherey, bagrej.* Wiele hiszpańskich pojęć, głównie rzeczowników, autor wprowadził do swojej narracji celem uzyskania lokalnego kolorytu.

Polski czytelnik przyjmie niejeden bezwiednie, bez trudu, inne bardzo szybko: *fiesta, amor* (miłość), *patio; hasmin (jasmin* – jaśmin); *cerveza* (piwo) pisane tak jak się słowo wymawia, a więc *servesa; grapa* (wódka z wytłoczyn winogronowych); *otra vuelta* (jeszcze jedna kolejka); *keryda* (*querida* – kochanie, kochana); *novia* (narzeczona, dziewczyna); *bicyklet (bicicleta* – rower); *wokabuler* (*vocabulario* – słownik); mercado (*mercado* – targ); almacen (*almacén* – sklep); amicycja (*amicicia* – przyjaźń, znajomość, zażyłość); czuraski (*churrasco* – mięso pieczone na żarze, mięso smażone, befsztyk); puczero (*puchero* – potrawa mięsno-jarzynowa, zupa z mięsem); hornal (*jornal* – dniówka); gażega (*gallego* – Hiszpan emigrant, często emigrant z prowincji Galicia uchodzący za niezbyt mądrego); vergüenza (wstyd); basura (śmieci, nawóz, gnój) – ten rzeczownik jest w hiszpańskim rodzaju żeńskiego, ale Straszewicz użyje go jako masculinum, kiedy ma służyć na określenie mężczyzny – śmiecia: „z tu obecnym…basurą"; pedreguż (*pedregoso, pedregal* – kamienisty teren); kania (*caña* – wódka z trzciny cukrowej); cedula (*cédula* – dowód, dokument); rinkon (*rincón* – kąt, róg); patron (*patrón* – szef, pracodawca); mani (rodzaj orzeszka); pryncypalne mercado (*mercado principal* – główny, największy targ); *pensión (pensión* – w języku hiszpańskim rzeczownik rodzaju żeńskiego. Tu „ten *pensión*" to pewnie echo naszego „pensjonatu"; kiniela (*quiniela* loteria, bilet na loterię); picaflor (koliber); cze vos (*che vos* – ty, poufale); *chau* (cześć); notisja (*noticia* – wiadomość, informacja); *zapatero (*szewc); *reparaciones (*naprawa*); arreglo* (naprawa, sporządzanie); kaczi-baczi *(cachivache* – ladaco); *arroz* (ryż); bario (*barrio* – dzielnica, przedmieście); *dolor* (ból); kukaracza (*cucaracha* – karaluch); *precios moderados* (tanio, ceny umiarkowane); *lio (lío* – kłopot, problem); boliczu (*boliche* – sklep, kram); *lomo* (grzbiet, polędwica); krijoże (*criollo* – Kreol – urodzony w Ameryce biały); ażanamianto (*allanamiento* – rewizja domowa); *cero-pelo* (ogolony do skóry); *hoy* (dzisiaj); *pajarito* (ptaszek, donosiciel); frakaso (*fracaso* – fiasko, ruina, rozbicie się); kawesa (*cabeza* – głowa); kontrabandzista (*contrabanda* – przemyt); *chancho sucio* (niechlujny wieprzu); *malta* (słód); eskritura (*escritura* – pismo, dokument, kontrakt); malvana (*malvado* – zły, nikczemny, przewrotny); tonterya (*tontería* – głupota); *estrada* (gościniec); *faro (*reflektor, latarnia, światło samochodu); *sitio* (siedzenie, miejsce); boka (*boca* – usta); *carretera* (szosa); *linterna* (latarnia); sentencja (*sentencia* – sąd, orzeczenie, słowo); *mierda* – (gówno); *permiso* – pozwolenie); *municipio* (magistrat); komedor (*comedor* – jadalnia, posiłki); amigowie (*amigo* – przyjaciel); *importancia* (ważność);

eukalipta (*eucalipto* – drzewo eukaliptusowe); *tinta (farba, barwa);* kwadra (*cuadra* – blok domów); konfiterya (*confitería* – cukiernia); kolaborator (*colaborador* – kolaborant, współpracownik); zapaty (*zapato* – but); kontra i rekontra (*contra y recontra).*

Urugwaj, Montevideo, fot. pinterest

Łatwo jest wyciągnąć wniosek, że Straszewicz chętnie używa rzeczowników, które polskiemu czytelnikowi nie nastręczają trudności i natychmiast je rozumie (*patio, fiesta, linterna, amigo*). Przy innych nie zawaha się posłużyć ich hiszpańską postacią. Powie „pod tego eukalipta", bo po hiszpańsku jest *eucalipto*. Napisze „kolaborador", bo po hiszpańsku brzmi to słowo *colaborador*. Mamy „akcydent" zamiast „wypadek", bo w języku hiszpańskim jest *accidente.*

Oczywiście rzeczowniki te odmienia śmiało po polsku. A więc „amigowie", „zapaty" (buty, liczba mnoga od *zapato*). Znajdziemy „seniorytki" i „fary" (liczba mnoga od

faro – reflektor, latarnia samochodu), „na kawesę” (na głowę, *cabeza* – głowa), „do almacenu” (do sklepu, *almacén* – sklep), „w boliczu” (w kramie albo barze, *boliche* – sklep), „ o amorze” (o miłości – *amor* – miłość). Nie stroni od dosłownych przekładów i używa kalek.

Tytuł noweli brzmi „Katedra Sandwiczów”, bo po hiszpańsku to *Catedral de los sandviches.* Podobnie napisze „w sekcji” zamiast „na policji”, bo znajduje *sección.* Także użyje wyrażenia „zdrowie publiczne” na *Salud pública.* Zdarza się, że posłuży się rzeczownikiem, który po polsku co innego oznacza, ale można się bez trudu domyślić jego innego znaczenia: „molestowanie” (*molestar*) to „naprzykrzanie się, przeszkadzanie, granie na nerwach”.

W tekście opowieści znajdziemy częste wtręty hiszpańskie, zazwyczaj pojedyncze słowa takie jak *mira* (popatrz, spójrz); *novia mía* (moja dziewczyno, kobieto); *enseguida* (natychmiast, już); *pero* (ale); seguro (pewnie, oczywiście); *sí* (tak, owszem); *claro* (jasne); *sí, señor* (tak jest); *caracoles* (do licha); *vamos* (ejże); *caramba* (do diabła, a niech to…); *te digo* (mówię ci). Niekiedy spotykamy całe zwroty w języku hiszpańskim: „keryda como te wa” (*querida, cómo te va* – kochanie, jak ci idzie, jak się masz); „diviertese bien” (*diviértase bien* – życzę dobrej zabawy); *dejate de joder, chancho sucio* (przestań „pierdolić” nieczysty wieprzu, świński ryju); *que vayan a la mierda* (niech idą do diabła). W noweli znalazł się nawet dłuższy cytat po hiszpańsku, zwrotka popularnej piosenki.

O wiele oszczędniej niż rzeczowników używa Straszewicz hiszpańskich czasowników. Bohater noweli potrafi powiedzieć swojej kochance *te gusta,* czyli „podoba ci się”? Na ogół jednak czasowniki te pochodzą z żelaznego repertuaru słów emigrantów pod każdą szerokością geograficzną, którym po pewnym czasie łatwiej przychodzi na język lokalne słowo wprzęgane w znane sobie gramatyczne struktury. Jeżeli dla przykładu słowo hiszpańskie *aprovechar* znaczy tyle co „używać, korzystać z czegoś”, to w ustach przybyłego Polaka staje się czasownikiem „aproweczować” i odmienia się bez trudu jak polski czasownik. „Tokuje” od „tokować” pochodzi od hiszpańskiego *tocar*, czyli „dotykać”. Podobnie *buscar* (szukać) przeobrazi się w „buskałem i znalazłem” w ustach polskich w Urugwaju. Jeśli prowadzić samochód to *manejar,* polski emigrant powie w pierwszej osobie „manehuję”. Znajdziemy też „skobruje” od *cobrar* (zarobić, brać zapłatę) z polskim przedrostkiem „s”, by

zaznaczyć czas dokonany. W innym miejscu czytamy „jeśli szef sfrakasuje” (*fracasar* – przegrać, nie udać się, nawalić).

Urugwaj, Montevideo, fot. pinterest

Ponadto w jednym miejscu zauważymy typową dla języka hiszpańskiego składnię, kiedy zamiast powtórzenia tego samego czasownika, używa się słowa „tak” – *sí.*

> *Nikt w Punta Chata o Strupie nie pamiętał, ale o jego fortunie tak ”– zamiast „o jego fortunie, owszem, pamiętano.*

Straszewicz posługuje się niekiedy przymiotnikami urabianymi od rzeczowników

hiszpańskich na polską modłę. Skoro jest *mierda* (gówno), to mamy i „mierdowaty”. Od miejscowości Punta Chata powstała „czateńska ziemia”; od *criollo* – mamy „krijożowskich cudów”, od *quiniela* – „kinielowa karteczka”; od *alquitrán*, smoła, pochodzi „bomba alkitranowa”. Rozpoznawalnego przymiotnika *principal* dało się bez trudu użyć w wyrażeniu „pryncypalne mercada”.

Ponadto spotykamy odezwania się typu *enseguida* (już się robi, zaraz), *entonces* (wtedy, w takim razie), *adelante* (naprzód, rusz się) czy „no aj kaso” (*no hay caso* – nie szkodzi, nie ma sprawy, to drobnostka).

Makaroniczne zdania wypadają bardzo efektownie: *„Que te vayas,* cholera*, a la mierda!” (A idźże, cholera, do diabła)* czy *„pareha* była jak w cinie *pero…*” (para była jak z filmu, ale); *„Que Dios los ayuda*, rycerscy Polacy” (poprawniej: *les ayude…* – Niech Bóg was wspomoże*);* „Czy ty, *vos,* coś z tego rozumiesz”; *„Andate* – Wiesio się wściekł – idź won *chancho sucio!*”

Wszystko na to wskazuje, że w tej samej konwencji powstałaby także zapowiadana powieść, której jeden rozdział ukazał się w „Kulturze” (93/94, 1955). Straszewicz swoisty język polsko-hiszpański utrzymał i zamierzał dalej w nim eksperymentować. Czytamy, dla przykładu, „Caballo był puci syn”. Polski przymiotnik „puci” od hiszpańskiego słowa *puta* (kurwa) daje polonijną wersję niezbywalnego rodzimego epitetu.

> *Straszewicz zamierzał pisać książkę o Ameryce Południowej językiem, który sam tworzył, swego rodzaju volapükiem polsko-hiszpańskim. Ten język mnie zafascynował – pisał Jerzy Giedroyć.*

Zapowiedzianej książki Straszewicz w końcu napisać nie zdążył, choć ukazał się jej fragment świadczący o zamierzeniu na większą skalę. Nie umiem powiedzieć, czy pozostały jakieś rękopisy. Niemniej, to co stworzył, zaliczyć trzeba niewątpliwie do jego niezwykle udanych, znakomitych i niezapomnianych dokonań językowych i stylistycznych. Żałować należy, że autorowi nie udało się już napisać ich więcej.

Witold Gombrowicz, z którym Straszewicz toczył polemiki, napisał wprawdzie z przekąsem, że w jego noweli widział:

> *[…]wczorajszą polskość oderwaną od podłoża i promieniującą w próżni, działającą z rozpędu,*

docenił jednak jej humor. Osobliwy język polsko-hiszpański jest, sądzę, tego komizmu ważnym składnikiem.

Srebrna Natalia

Rozmowy o książkach, które nie przemijają.

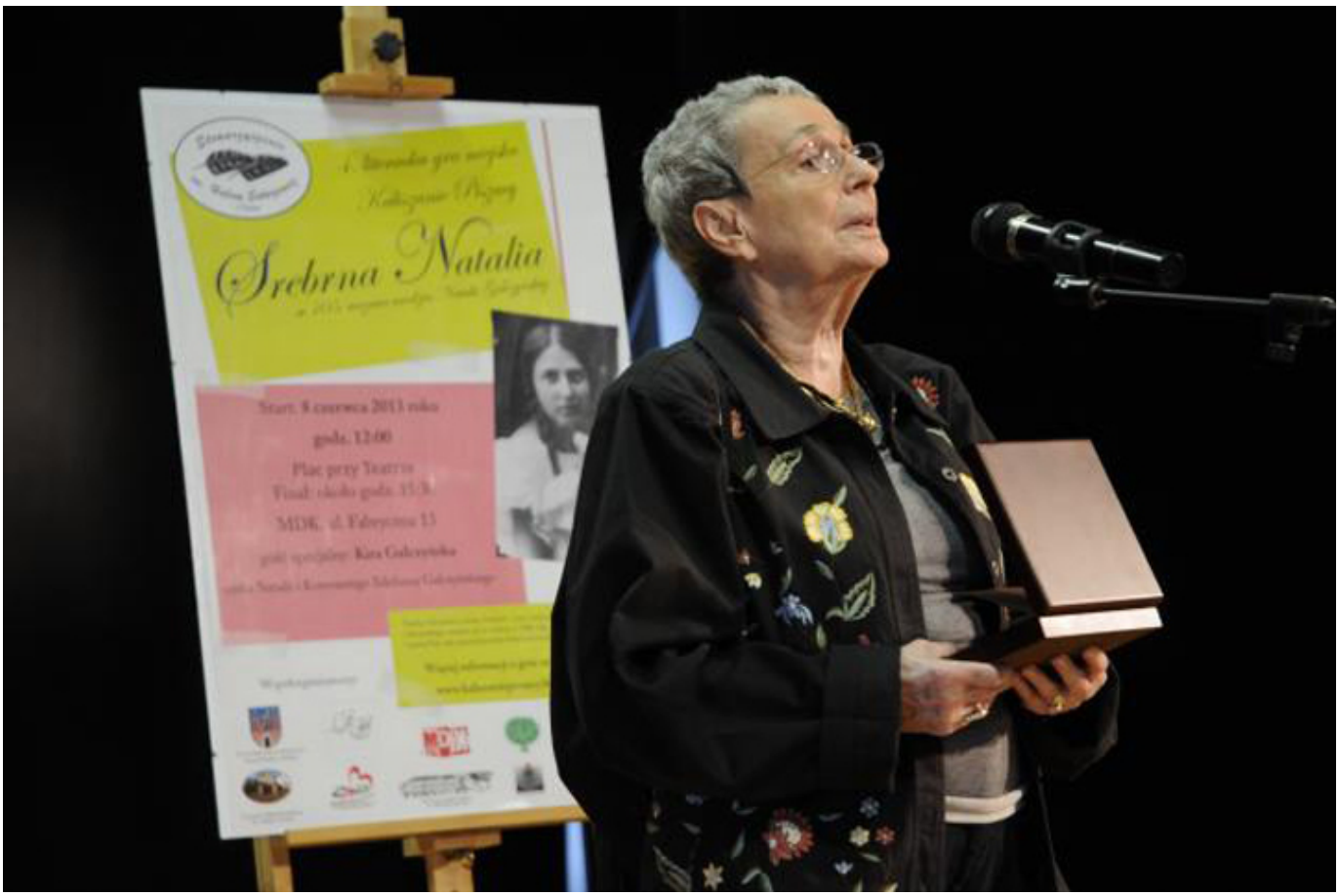

Kira Gałczyńska podczas spotkania z czytelnikami, fot. Rafał Saganowski.

Z Kirą Gałczyńską, córką Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, na temat

książki o jej matce, rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.

O, zielony Konstanty, o srebrna Natalio!

Cała wasza wieczerza dzbanuszek z konwalią;

Wokół dzbanuszka skrzacik chodzi z halabardą,

Broda siwa, lecz dobrze splamiona musztardą,

Widać podjadł, a wyście przejedli i fanty –

O, Natalio zielona, o, srebrny Konstanty!

Konstanty Ildefons Gałczyński

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Mamy „Zielonego Konstantego", mamy też „Srebrną Natalię". Jest to przepiękna książka, prawdziwa i ludzka. Jak długo nosiła Pani w sobie zamiar napisania książki o swojej matce?

Kira Gałczyńska: O tej książce myślałam od dawna, wielokrotnie się do niej zabierałam. Ona miała już ze 30 początków. Ale to wszystko było nie tak, jak sobie wyobrażałam książkę o Natalii. Po prostu nie umiałam jej napisać. I wtedy zdecydowałam: trzeba lecieć do Gruzji, poszukać śladów moich dziadów, dotrzeć do jakichś archiwów, zobaczyć miejsca, skąd pochodzili. I tak się stało. Trzy tygodnie pobytu w Gruzji pozwoliło mi tę ważną dla mnie książkę napisać w cztery miesiące. Po roku od tej niezapomnianej podróży opowieść o Natalii trafiła do księgarń.

JSG: Fascynująca jest Pani opowieść pierwszej podroży do Gruzji w październiku 2005 roku, która była również podróżą w głąb siebie, w głąb przeszłości swojej rodziny. Dotarła Pani dalej, niż udało się to Pani matce, poznała Pani losy swojego dziadka, księcia Konstantego Nikołajewicza Awaliszwili – korneta gruzińskiego pułku.

KG: Gruzja otworzyła mnie na wiele spraw, dzięki niej zrozumiałam wiele cech charakteru mojej matki – jej pogodę, hart ducha, dzielność, umiłowanie poezji, wierność dla najbliższych, lojalność… Te wszystkie niezwykle cechy charakteru wykształcił w niej (poza innymi gruzińskimi przodkami, o czym mówią przekazane geny) jej ojciec, Konstanty Awaliszwili – mój dziad. I choć – Konstanty i Natalia, ojciec i córka – przeżyli wspólnie jedynie sześć lat, jego wpływ na całą psychikę Natalii i jej późniejsze życie był ogromny. Z tego wszystkiego nie zdałabym sobie sprawy, gdyby nie wyjazd do Gruzji, gdyby nie poznanie niezwykłych, wspaniałych ludzi.

Natalia Gałczyńska, fot. z książki „Srebrna Natalia”.

Natalia Gałczyńska, fot. z książki „Srebrna Natalia”.

JSG: Czy podroż w przeszłość miała wpływ też na Panią, na Pani poczucie tożsamości, przynależności do trzech kultur polskiej, rosyjskiej i gruzińskiej?

KG: Moje poczucie tożsamości kształtował zawsze mój dom. Dom, muszę dodać, pod każdym względem niezwykły. Od najwcześniejszych lat zdawałam sobie sprawę z tego, że w moich żyłach płynie krew trzech narodowości, to otwierało przede mną niebywale wprost perspektywy – bycia w naturalny zupełnie sposób obywatelem

świata, obywatelem Europy. Bez uprzedzeń narodowościowych czy rasowych, za to z otwartością na każdego wartościowego człowieka. Bo tolerancja w moim domu była codziennością. To jedna z najważniejszych lekcji wyniesionych z domu na cale życie.

JSG: Tak pięknie opisuje Pani przeszłość swojej mamy, więzi rodzinne, owiane legendą historie o księżniczce z dalekiego zamku, o dawnych czasach pięknej Gruzji. Wzruszająca jest spisana przez Panią „opowieść Natalii", o poznaniu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, o pięknym, barwnym i szalonym, ale i jednocześnie trudnym życiu z niezwykłym poetą. Ale po śmierci Pani ojca, mimo, że pisze Pani dalej o matce, przytacza Pani jej listy z podróży statkiem, to jednak nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że ta historia, w stosunku do poprzednich, przebiegała skrótowo, tak jakby życie Natalii Gałczyńskiej po śmierci męża przebiegło w przyspieszonym tempie. Czy zgadza się Pani z moimi odczuciami?

KG: Czy życie Natalii po śmierci poety przedstawiłam istotnie skrótowo? Jeśli tak to Pani odebrała, to jest w tym jakaś moja „niedoróbka". Nie chciałam tego. Starałam się przedstawić prostą prawdę, że owe 23 lata życia przeżytych samotnie, nie były ani tak barwne, ani tak niezwykle i wypełnione bogactwem doznań, jak 23 lata przeżyte z K.I.G. Najpierw po śmierci Kota nie umiała się podnieść z tragedii, która na nią spadła. Tamta trauma towarzyszyła jej – na dobrą sprawę – do śmierci. Nigdy już nie umiała się ani tak śmiać, ani cieszyć, ani zachwycać codziennością, jak to bywało wcześniej. Choć przecież czas i w tym wypadku zrobił swoje – złagodził ból, ale nie osłabił poczucia samotności. A później, dzięki silnemu charakterowi, hartowi, jakiejś niebywałej determinacji, starała się żyć z pożytkiem dla innych, dla dzieła K.I.G., dla rodziny wreszcie. Jakiś cień wewnętrznej pogody odnalazła dzięki dalekomorskim podróżom – one w jakiś sposób godziły ją ze światem; poznawała go z nową ciekawością, z młodzieńczym niemal oczarowaniem; zawierała nowe znajomości, przyjaźnie. I te nieoczekiwane spotkania zawsze ją cieszyły, stanowiły namiastkę świata, który utraciła.

Natalia i Konstanty Gałczyńscy, fot. Wikimedia

JSG: Jak to jest być dzieckiem sławnych rodziców? Czy to duża odpowiedzialność, misja do spełnienia?

KG: Moje dorosłe życie wypełnia cudowna pamięć o domu, o niezwykłych pod każdym względem rodzicach, ich przyjaciołach. Wyrosłam w takim domu, w szczęściu, pogodzie, trosce i miłości. Nie bywa to dziś dane każdemu. To mój największy skarb, z jakim weszłam w samodzielne życie. I to jednocześnie mój wielki dług, który staram się wobec moich najbliższych spłacać każdego zaczętego dnia. Stąd moje książki, moje próby opowieści o poecie, jego świecie, jego wierszach, w których zawsze najważniejszą była Natalia. To co robię, nie jest żadną misją. Jest moja codziennością. I jest mi z nią dobrze.

JSG: W opowieści o mamie, dyskretnie pojawia się i Pani. Z dużym uczuciem i podziwem, przy jednoczesnym zachowaniu faktów i wnikliwym ich omówieniu, pisze Pani o Natalii Gałczyńskiej. Czy będzie też książka o Pani, o Pani niezwykłym życiu, leśniczówce Pranie, wielu ciekawych osobach, które Pani napotkała w życiu?

KG: A więc pyta Pani, czy napiszę wspomnienia? Może. Choć mam świadomość, że

do nich także trzeba dojrzeć, a ja mam coraz mniej czasu. Ale może, kto wie? Kiedy już za bardzo dokuczy mi rzeczywistość, jedynym ratunkiem stanie się jeszcze jedna podróż w przeszłość. Do nieistniejącego świata pogody, przyjaźni, wierności i okazywanej każdego dnia miłości. Do świata zatrzymanego w wierszach K.I.G.

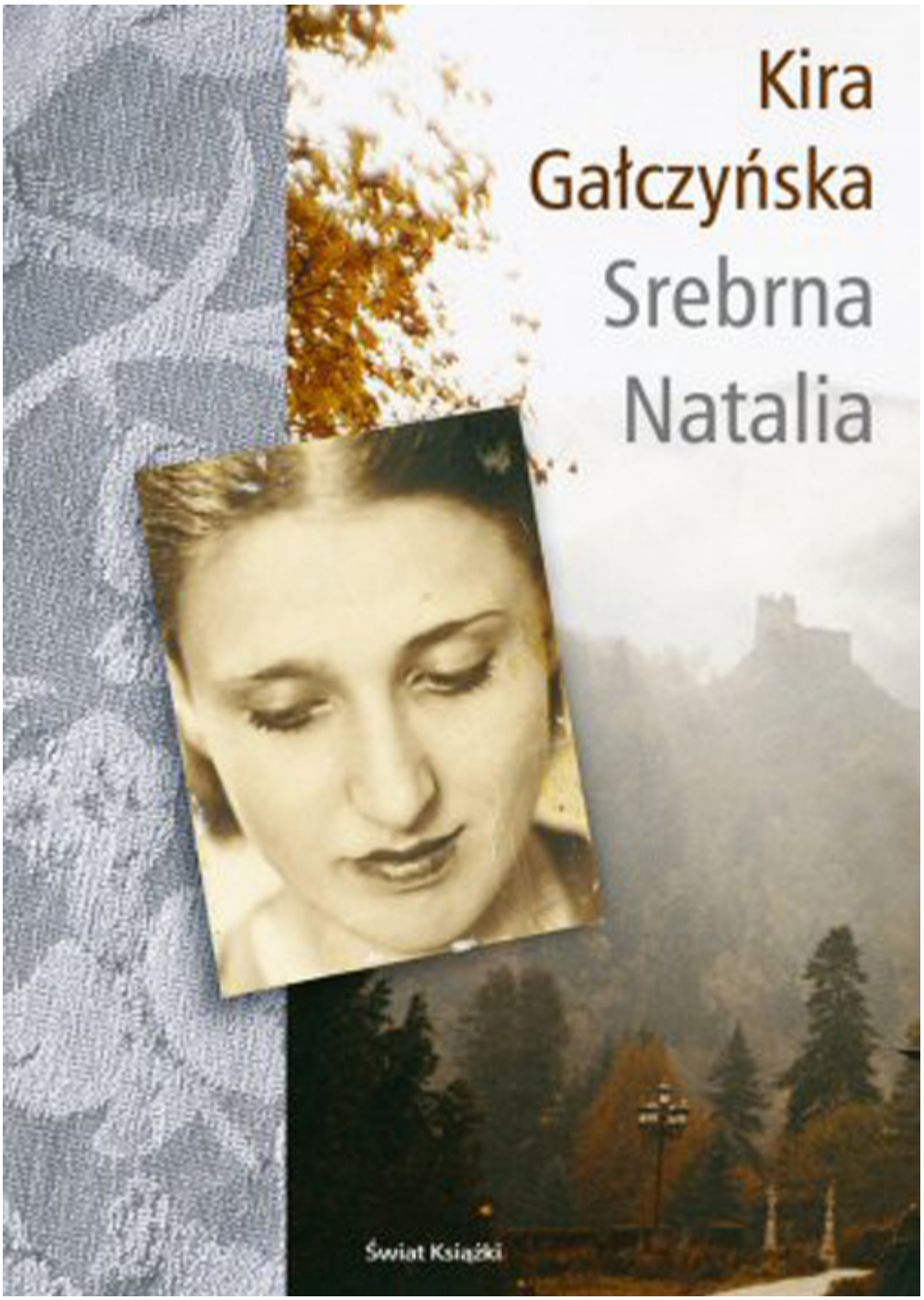

Wydawnictwo Świat Książki, 2006.

Wydawnictwo Marginesy, 2014.

Ta książka jest dalszym ciągiem naszych wielu rozmów, naszych wspólnych podróży, zaczętych lektur i niedosłuchanych koncertów. (…) Jest także moją próbą opowiedzenia o niej, o jej dniu codziennym, wesołym i smutnym, o (przyjaciołach). O nastrojach, kaprysach i fascynacjach. O uśmiechach i łzach. O wielkiej sztuce przebaczania, miłości i wiary: jest jeszcze jedną próbą dotarcia do jej sekretów, a

może i tajemnic.

Kira Gałczyńska

Kira Gałczyńska, Srebrna Natalia, Świat Książki 2006 oraz wznowienie wyd. Marginesy 2014.

Czesława Straszewicza język hiszpańsko-polski. Część 1.

Florian Śmieja

Pisarze polscy, zwłaszcza prozaicy, których emigracyjne losy zapędziły do krajów języka hiszpańskiego, głównie do Ameryki Południowej (**Florian Czarnyszewicz**, **Janina Surynowa-Wyczółkowska**, **Benjamin Józef Jenne**), czy do Ameryki Środkowej (**Andrzej Bobkowski**) w twórczości swojej dostrzegali często nowe otoczenie, inną atmosferę, klimat, egzotyczne dla polskiego czytelnika krajobrazy, osobliwych ludzi. Sytuując bohaterów swoich książek w przybranej ojczyźnie, otaczali ich nie tylko realiami lokalnymi, ale również kładli w ich usta język, którego używało otoczenie. Zazwyczaj wystarczyło upstrzyć narrację czy opis hiszpańskimi słowami czy zwrotami. Specyfika języka polskiego nieraz wymagała od piszących lekkiego adaptowania hiszpańskich słów do wymogów fleksji.

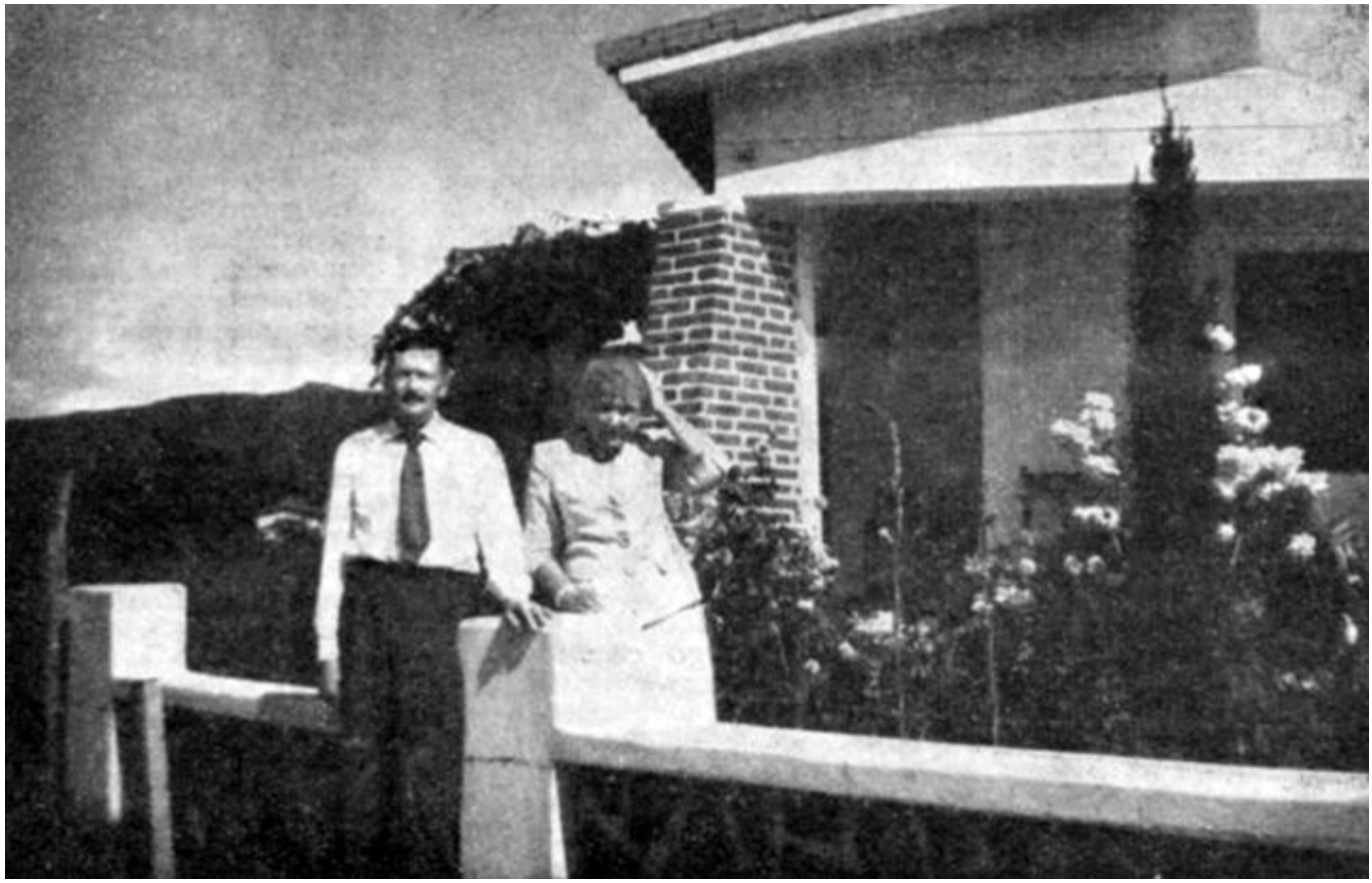

Florian Czarnyszewicz z Janiną Surynową-Wyczółkowską, przed jego domem w Villa Carlos Paz, na ulicy Avenida del Valle 143, źródło: londyńskie „Wiadomości” nr 17 (682) z 1959 r., fot. ze strony: http://byekuf.republika.pl

Florian Czarnyszewicz (1895-1964) emigrował do Argentyny w 1924 roku. Jest autorem czterech powieści. Akcja jednej z nich, „Losy pasierbów” (Paryż 1958), umiejscowiona jest w Argentynie. Pisarz często w dialogach posługuje się słowami zasłyszanymi w nowym kraju. Słów tych nie przekłada. Czasem wychyli się nieświadomie mówiąc „o żadnej trampie nie słyszał”, a czytelnik musi się domyślić, że chodzi o zasadzkę, podstęp, że to właśnie znaczy „trampa”, którą Czarnyszewicz odmienia regularnie jak polski rzeczownik rodzaju żeńskiego. Podobnie napisze „czakrę”, „ranczę”, w „fondzie”, „na moją quintę”. Osobliwie traktuje słowo „campa”, znaczące tyle co ziemia bez drzew, step. Odmiana tego rzeczownika waha się znacznie „w kampie”, „z kampy”, a nagle „kampa wielki”.

Gdy idzie o szczegółowe wyliczenie gatunków fauny i flory, tę zmorę ludzi nowych w terenie, czując się bezsilny nazywa je z hiszpańska: „narodowe *ceibos* i spowite w *madreselvę* i *lianę* krzaki *talas* i *lucery*”. Podobnie potraktował nieznane ptaki: „świergotały wróble, kwiliły *benteros* i *ratoneros*, zawodziły legendarne *carau*”.

Andrzej Bobkowski z żoną Basią, fot. wizjalokalna.wordpress.com

Zmarły przedwcześnie na chorobę nowotworową **Andrzej Bobkowski** (1913-1961), który w 1948 roku osiedlił się w Guatemali, do opowiadań osadzonych w Ameryce Łacińskiej wtrącał słowa hiszpańskie (także francuskie, angielskie i niemieckie) nie troszcząc się o ich przekładanie na polski. Uważał, że dobrze funkcjonowały, by wystarczająco charakteryzować rozmówców, miejsce czy sytuację. W listach do **Jerzego Giedroycia** napomykał o ambitnych planach pisarskich. Dopingowany przez redaktora „Kultury" Bobkowski szykował się do napisania książki o Ameryce Południowej. Tropem, po którym zamierzał iść, była powieść Conrada „Nostromo". Pisał:

> *Ja temu Nostromo nie dam spokoju – teraz czekam tylko na mikrofilmy tych książek, na których opierał się Conrad i napiszę na tym tle, sumę dzisiejszej Ameryki Łacińskiej.*

Donosił, że zamierza się wybrać do Wenezueli, by zobaczyć Puerto Cabello, na którym było wzorowane Sulaco. Conrad stał w tym porcie przez kilka dni.

W samych zaś listach do Giedroycia Bobkowski na przykład powie:

> *Z Antigua dojechaliśmy do naszych przyjaciół na „finkę", czyli do ich majątku na wieś. (finca – posiadłość ziemska, parcela, zabudowanie z ogrodem, majątek).*

Kiedy indziej wtrąci całe dobitne wyrażenie, nie tłumacząc go a domyślając się, że jest zbędne we Francji: „…przepraszam, że *estoy hecho mierda*„.

Janina Surynowa-Wyczółkowska (1897-1985), która ostatnie dekady swego życia spędziła w Argentynie, drugą część powieści „Teresa, dziecko nieudane” (Londyn 1961), „Gringa” (Londyn 1968) oraz trzecią „Jesień Gringi” (Londyn 1976) umiejscowiła w Argentynie. Wplata w narrację hiszpańskie słowa i natychmiast je tłumaczy na polski. Jeżeli je częściej powtarza, to już ich nie przekłada, a tylko wkłada w cudzysłów. Ostrożnie odmienia rzeczowniki: “ciemną Rafaelita i jasną Barbarity”; „zaimponowałam swojemu José Marii”. I to zdaje się autorce wystarczać, by stworzyć aurę przybranego kraju, jego ludzi i cudzoziemców, głównie Polaków, w styczności z Argentyńczykami.

Podobnie robi Jenne. Zadomowiony po wojnie w Wenezueli **Beniamin Józef Jenne** (ur. w 1913) wydał w 1979 roku w Londynie dwutomową powieść „Don Chucho”. Jej akcja rozgrywa się w Wenezueli na przestrzeni lat 1925-1975. Faktograficzny koloryt lokalny wzbogaca używając języka *hiszpańskiego.* Są to zazwyczaj pojedyncze słowa, nazwiska, nazwy czy powiedzenia. Towarzyszą im najczęściej polskie równoważniki: „O, y como le va? I jak idzie?” czy „*Qué pasa*? – Co się dzieje?” Napisawszy „…z tym wyjść do *pueblo*”, dodaje gwiazdkę i odnośnik: pueblo – lud. Kiedy indziej natomiast nie przekłada, każe się domyślać i pisze: „…przez jakiegoś *Polaco*”; „dziki *vaquero*”; „w tamtą daleką *quebradę*”; „policja wzięłaby od pana *multę*, co najmniej sto boliwarów”; „*cascabel*” (grzechotnik) nie tłumaczy. Często rzeczownika hiszpańskiego nie odmienia, czasem daje jego liczbę mnogą. Zazwyczaj końcówka jest hiszpańska, ale bywają i polskie. I tak: „należą do *hacenderów*”; „sprowadzisz *extranjeros*”; „rzędy wielkich *mangosów*”, ale „deszcz złocistych *mango*”. Przydało by się wyczerpujące studium tych hispaników, obawiam się, używanych dość niekonsekwentnie.

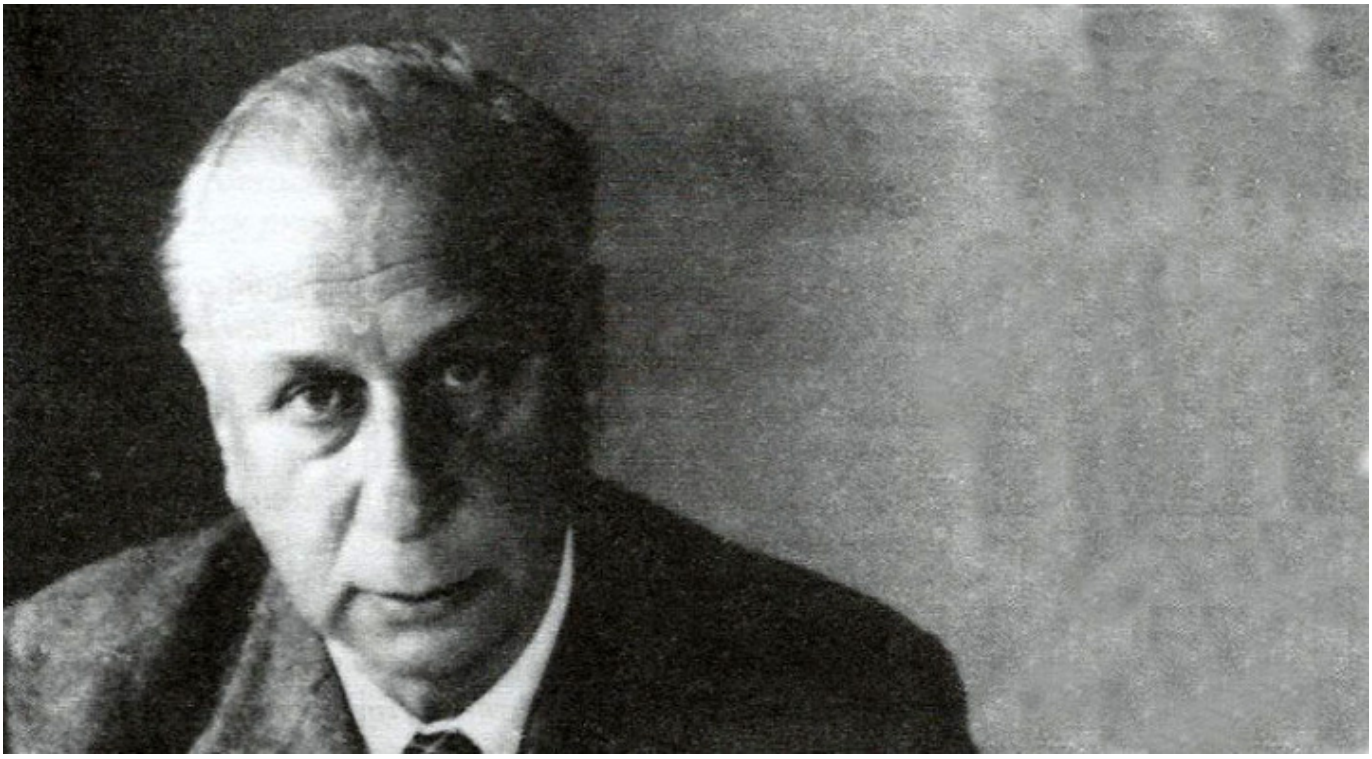

Czesław Straszewicz, fot. wyd. Arcana, www.polskieradio.pl

Czesław Straszewicz (1904-1963) urodził się w Białymstoku, maturę zdał w Warszawie I studiował polonistykę i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Jako prozaik debiutował w „Kwadrydze", następnie współpracował z „Prosto z Mostu", „Buntem Młodych", „Tygodnikiem Ilustrowanym" i „Polityką". Zaproszony do odbycia inauguracyjnego rejsu do Buenos Aires na nowym transatlantyku „Bolesław Chrobry" wraz z Witoldem Gombrowiczem, po przybyciu do Argentyny dowiedział się o wybuchu wojny polsko-niemieckiej. Wrócił do Europy i wstąpił do wojska polskiego we Francji. Potem w Anglii uległ kontuzji w czasie ćwiczeń wojskowych i został przeniesiony do pracy w radiostacji „Świt". W roku 1945 wyjechał do Montevideo w Urugwaju jako *attache* prasowy Polskiego Rządu na Emigracji. W latach 1956-1961 pracował w Radiu Wolna Europa w Monachium. Na skutek rozwijającej się choroby nowotworowej wrócił do Urugwaju w 1962 roku i tam niebawem zmarł.

Autor trzech powieści i zbioru nowel. Przed wojną, na emigracji Straszewicz napisał „Turystów z bocianich gniazd", książkę składającą się z dwu opowieści dając innym przykład, by nie ograniczali się do pisania wspominków, ale więcej uwagi poświęcali otaczającemu ich światu i ludziom, z którymi niespodziewanie zetknął ich los. Spytany o pomysł jednej z tych opowieści Straszewicz powiedział:

Polegam jedynie na własnych przeżyciach. Dla „Turystów” kręciłem się dość długo w kolonii montevideowskiej. Poza tym miałem kiosk w porcie i tam zetknąłem się na gorąco z marynarzami, których opisałem później w „Katedrze sandwiczów”. (Merkuriusz Polski, 10 /78)

Karol Zbyszewski, bezapelacyjny entuzjasta egzotycznej noweli dodaje:

Codziennie, w tychże godzinach, przy tymże stoliku, siedział w tejże kawiarni, na głównym placu Montevideo. Wysłuchiwał kolejno o sprawach, kłótniach, projektach… I radził, uśmierzał, pośredniczył, załatwiał…

Z tego okresu powstała dłuższa nowela „Katedra sandwiczów”. Arcydzieło! Żadna (uczciwa) antologia noweli polskiej nie będzie się mogła bez niej obejść. Barokowym stylem, z dobrodusznym humorem, przedstawił Straszewicz tych politycznych emigrantów, których cała miłość do Polski polega na umiłowaniu polskich potraw, tę starą emigrację, która raz na rok ubiera swoje dzieci po krakowsku, a poza tym leci do byle reżymowego konsulatu – jeśli dostaje tam wyżerkę i wypitkę, w tych samochwałów – Akowców co to, ponoć, cudów dokazywali z Niemcami, ale których tu, w Urugwaju, najprostsza akcja przeciw „najnieporadniejszemu kajtusiowi” rozłazi się w rękach.

A najmocniej wyśmiał samego siebie. Straszewicz przedstawił siebie jako panią z kiosku, poczciwą niedojdę, która nie ma pojęcia o handlu, która jest ośrodkiem wszelkich planów i intryg, lecz w końcu wszystko partoli. (DziennikPolski, 3.10.63)

Również **Tadeusz Nowakowski** zapisał w swoim wspomnieniu w „Wiadomościach” kolorowe perypetie Straszewicza w latynoskim kraju:

Opowiadał mi, że w dalekim Urugwaju był magazynierem w fabryce. Otrzymał tę pracę dzięki poparciu możnego rodaka, mecenasa sztuki. Chodził więc do tej fabryki, coś tam zapisywał do księgi inwentarza, a pod koniec tygodnia ustawiał się potulnie z tubylcami po odbiór tygodniówki. Pewnego dnia zarządzono w fabryce redukcję, a protektor polskiego pisarza, jak na złość bawił w Szwajcarii. Zanim pozbawiono robotników pracy, związek zawodowy zażądał motywacji na piśmie…

I tylko przy zacnym Czesiu nie bardzo wiedziano, co napisać. Majster słyszał jednak coś tam piąte przez dziesiąte, że to jakiś dziwny jegomość, cudzoziemiec, obce ciało w fabryce. Wobec tego napisał: „Ceslao Straszewicz – analfabeta”… – Jestem jedynym pisarzem polskim – przechwalał się ze śmiechem Czesio, któremu zaświadczono na piśmie, że jest analfabetą!

Nowakowski zanotował również inną zabawną historyjkę opowiedzianą przez Straszewicza:

W Urugwaju prowadziłem polskie audycje radiowe. Musiałem jednak coś jeść i gdzieś mieszkać. Kochani rodacy w Montevideo, widząc jak mi się powodzi, uchwalili, że najlepiej mi będzie kupić kiosk. W dzień – umyślili sobie – będę w kiosku sprzedawał papierosy, a wieczorem – pokrzepiał serca. Wynajęli mi więc w dzielnicy portowej miejsce na budkę. Pan Michalski, stolarz, kochany człowiek własnoręcznie zrobił witryny, pan Czech dał gwarancję, pan Szołno dał zaliczkę na towary, ja dałem im w zastaw złoty zegarek. No i założyliśmy ten kiosk. Ale po kilku miesiącach – zbankrutowałem. Okazało się, że być kupcem, to wcale nie takie proste. Na przykład przychodzi klient i powiada: „Proszę o kartkę papieru listowego”. Mam taki papier, owszem, chcę dać gościowi, ale jak mu dać tę kartkę prosto w łapę? Jakoś nie wypada. Nie mam papieru do pakowania, więc szybko zawijam mu tę kartkę w drugą kartkę tego samego papieru listowego. I jeszcze – przez zwykłą ludzką uprzejmość – dodaję mu kopertę… Jedna kartka – dwa centymy, koszta własne – cztery centymy. A więc zysk mój: zero. A nawet minus dwa. Zbankrutowałem… (Na Antenie, Wiadomości, 912/1963)

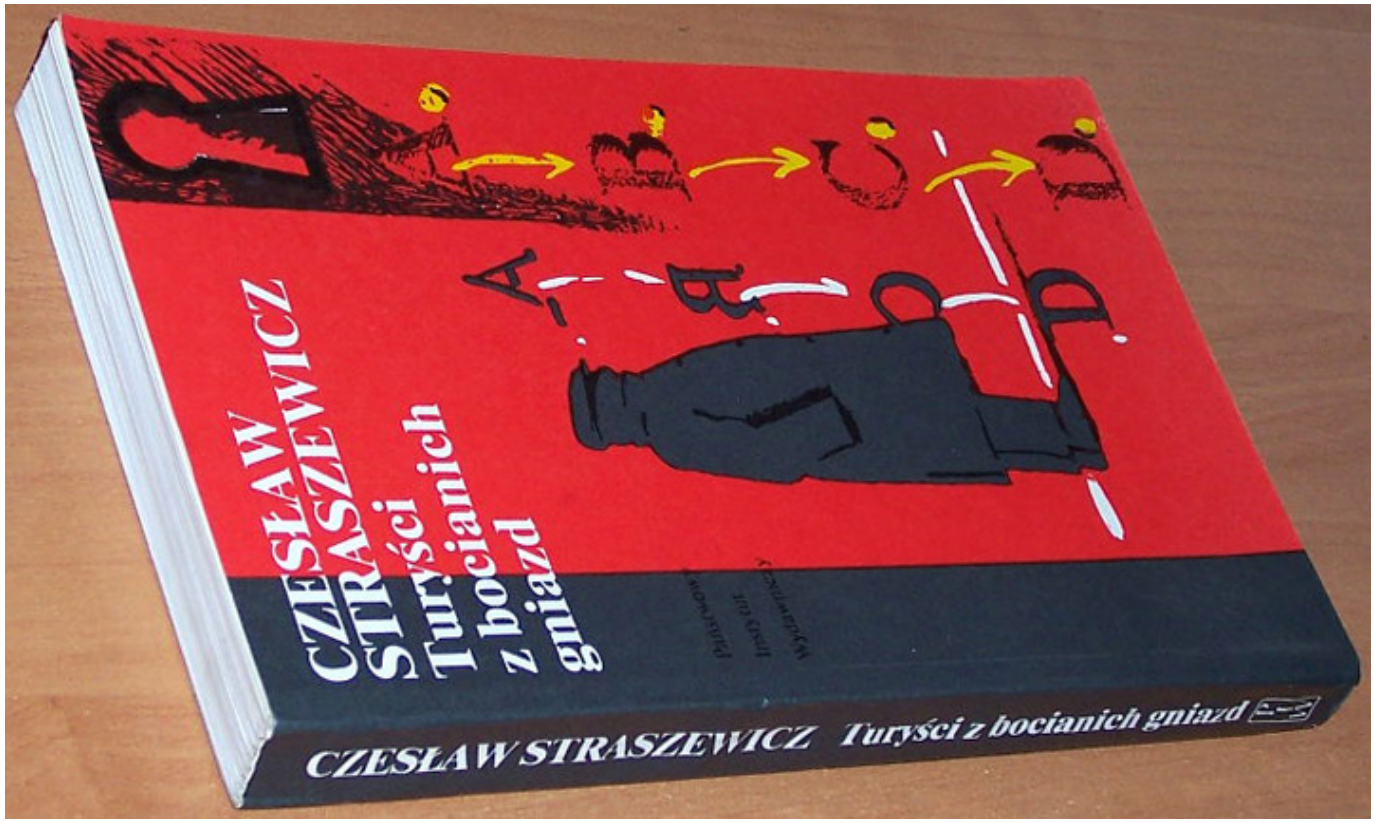

Czesław Straszewicz, Turyści z bocianich gniazd, wyd. PIW, 1992 r.

Józef Czapski nazwał Straszewicza „najbardziej ludzkim z naszych pisarzy”. Także:

> *Pisarzem wyjątkowej wagi i uroku, ale stokrotnie bardziej jeszcze człowiekiem o mądrej, uśmiechniętej dobroci, w czasach, kiedy dobroć nie jest „modna”, kiedy jesteśmy drapieżni, subtelnie perwersyjni, apokaliptycznie ponurzy, a przynajmniej zjadliwie ironiczni. Patrzał na wszystkich, patrzał na nas jak na marynarzy-turystów z bocianich gniazd w dalekich portach Ameryki, na ich łatwe kochanki, którym przyrządzali „bitki a la Radziwiłł”, na emigrantów przeróżnych… (Kultura, 10/192, 1963)*

Język tego opowiadania zlokalizowanego w Urugwaju zasługuje nie tylko na *skrutację* przez iberystę, ale przede wszystkim na uwagę polonisty językoznawcy jako niezwykły dokument emigracyjnej polszczyzny. Zwracał już na ten aspekt uwagę Michał Sambor (Chmielowiec) w szkicu „Uwagi o prozie beletrystycznej” (T.Terlecki, Literatura polska na obczyźnie, I, 177):

> *Niebawem będziemy już obchodzili dziesięciolecie ukazania się „Turystów z bocianich gniazd”. Jest międzynarodowym skandalem, że gdy Zachód rozczytuje*

się w rozmaitych Brandysach, nie ma przekładu tego arcydzieła na żaden język światowy. Inna rzecz, że gdzie tu znaleźć kongenialnego tłumacza tej nieprzekładalnej książki, który by zdołał w swej mowie uchwycić w dwu-trzech pamiętnych słowach całe kompleksy historyczno-obyczajowo-psychologiczne, tak jak to umie Straszewicz w swej niewiarygodnej dla emigranta polszczyźnie!…

Wspomniany już **Tadeusz Nowakowski** sądził podobnie:

…Napisał książkę niezwykłą, która zapewnia mu miejsce w literaturze. Powstała ona z dala od kraju, w Ameryce Południowej i stanowi przykład zwycięstwa wyobraźni twórczej nad autopsją. […] Jakże to napisane! Cóż za barwny, oryginalny, odkrywczy język!…

W „Katedrze sandwiczów" Straszewicz ukazał Polaków na ziemi urugwajskiej otoczonych przez żywioł hiszpański względnie latynoski i kazał im mówić swoistym językiem, który w dużej mierze stanowi o uroku tej osobliwej prozy.

Aczkolwiek Straszewicz posunął się dalej niż wymienieni na wstępie pisarze, to jednak stworzonego przez siebie języka nie nadużywał. Wkładał go w usta już w Argentynie zadomowionych Polaków, względnie ich dzieci, oraz nowo przyjezdnych marynarzy, którzy makaronizowali nie mając ani praktyki w nowym języku, ani właściwej potrzeby, by język ten sobie przyswoić, bo byli ciągle w drodze do innego portu. W rozmowie z Eweliną Żółtowską zapytany o ten język przemieszany z hiszpańskim, Straszewicz powołał się na przykład Henryka Sienkiewicza, który posługiwał się łaciną, inkrustował słowa czy wręcz zwroty całe dla uzyskania pożądanego efektu artystycznego.

Godzi się niemniej zacytować cały paragraf naszpikowany hiszpańskimi słówkami pamiętając, że należy do rzadkich, bo Straszewicz, rozsądnie, nie widzi potrzeby nasycania swoim *volapükiem* całej noweli.

Wraz z nadejściem dni przewiewnych, w kolonii „czateńskiej" nie dziwiono się zbytnio tym odjazdom, bo rozumiano, że tak powinno być i lepiej dla tamtych, przestaną się w porcie włóczyć i smród, jak te „kukaracze" i wstyd dla polskości koło siebie robić. Żałowali ich niektórzy, ot choćby Juan Gacki, który – „claro" –

mówił Elena z Adamem w tańcu „pareha” była jak w „cinie”, „pero” co robić, płakać nie będę, „no ay kaso”. Pan Misiak napomknął w tym sensie, że on od początku wiedział, iż 3,50 było dla nich aż nadto, co na jego wyszło, zaś ojciec Lipiński, iż mogli oni przynajmniej wstąpić i Bóg zapłać powiedzieć dla starej, która pchała w nich naleśniki przez miesiąc z czubem. Na ogół odjazd przyjęto z milczącą pobłażliwością; co z oczu schodzi, nie trzyma się na językach w Punta Chata…

Część 2 ukaże się we wtorek, 6 marca 2018 r.

Wizyta u Józefa Wittlina (1896-1976)

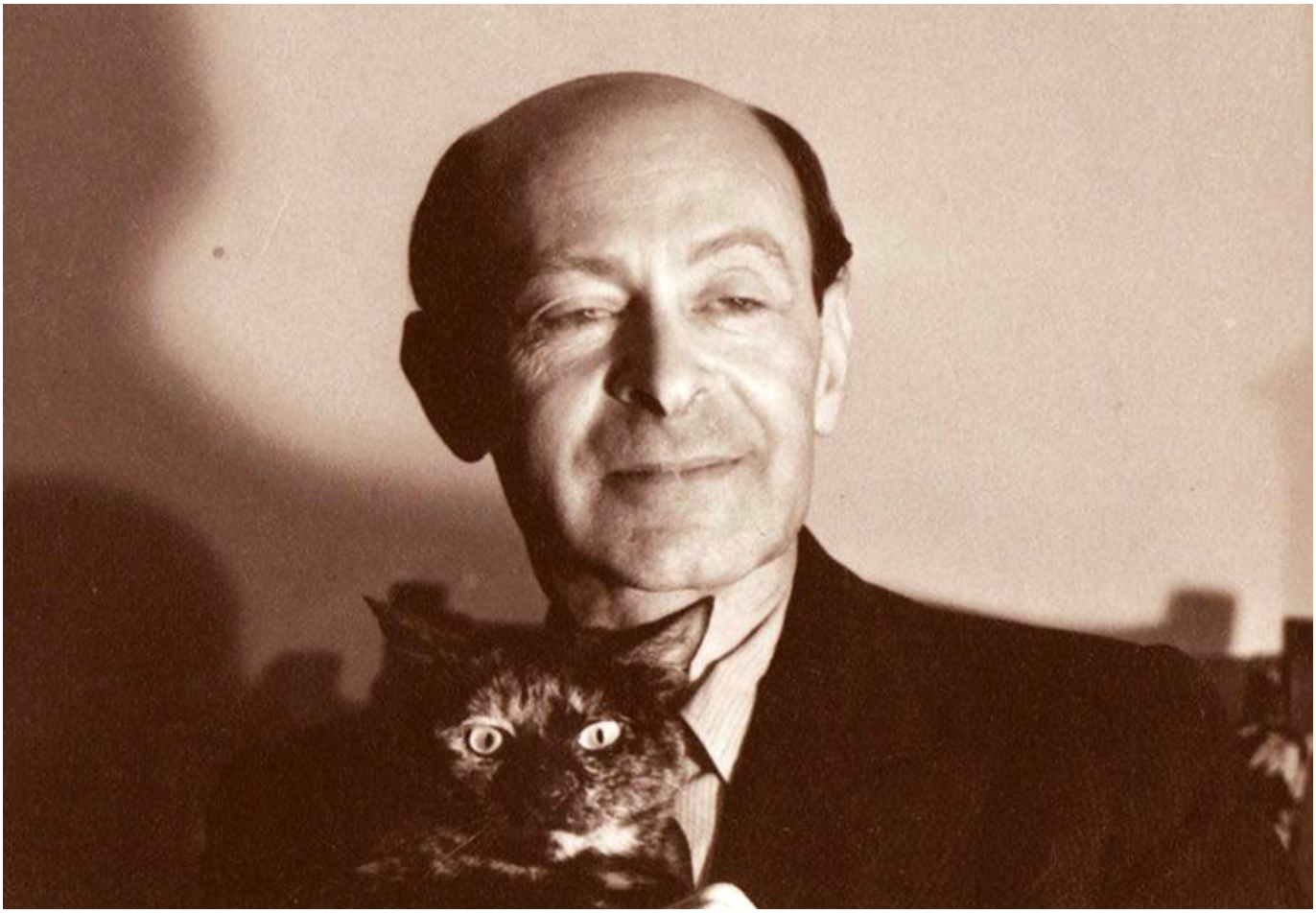

Józef Wittlin, fot. arch. „Nowego Dziennika”.

Florian Śmieja

Po raz pierwszy spotkałem się z Wittlinem omawiając w Anglii ze studentami zaleconą jako lekturę powieść „Sól ziemi”. Poznałem go więc od strony najwłaściwszej: jego dojrzałego dzieła. Potem wymieniłem z nim kilka listów.

Były to lata sześćdziesiąte. Redagując w Londynie miesięcznik „Kontynenty” korespondowałem z sympatykami pisma, do których zaliczał się także Wittlin. Mieszkał w Nowym Jorku i pracował w Wolnej Europie. Należał do pisarzy, którzy otarłszy się o Hiszpanię interesowali się hiszpańską literaturą. Już choćby to sprawiało, że mieliśmy wspólny temat. (Wittlin namawiał mnie do przekładania m.in. poezji Jorge Guilléna).

Oczywiście, pragnąłem drukować Wittlina, ale nie było to proste. Pisał bardzo niewiele i współpracował z paryską „Kulturą”. Również radio pochłaniało dużo jego czasu, a w zasadzie, jak wszystkim oznajmiał, pracował nad rekonstrukcją

zaginionych kontynuacji jego słynnej powieści.

Młodych z zasady popierał i zależało mu na tym, by oni coś o nim wiedzieli. Pamiętam, jak wypominał mi, że pominięto go w nocie o współczesnych polskich poetach, którzy również uprawiali prozę.

Raz nawet, przelotnie, zobaczyłem go w londyńskim Ognisku Polskim. Dość, że kiedy w roku 1969 znalazłem się w Kanadzie, a kilka lat później otrzymałem ofertę, aby na nowojorskim uniwersytecie Queen's wygłosić odczyt o literaturze emigracyjnej, skwapliwie zaproszenie przyjąłem, zapragnąłem bowiem wizytę u ujścia rzeki Hudson wykorzystać pełniej i odwiedzić mieszkającego od wielu lat w Nowym Jorku pisarza i poetę.

Wybuch drugiej wojny światowej zastał go we Francji. Przez Hiszpanię i Portugalię wyjechał w 1941 roku do Stanów Zjednoczonych i tam osiadł na stałe. Już w gimnazjum lwowskim Wittlin dał się poznać jako poeta i wcześnie nawiązał kontakty z poetami języka niemieckiego, aby przekładać ich utwory. W Wiedniu m.in. poznał Rilkego i stał się jego pierwszym tłumaczem na język polski. Wtedy też zetknął się z poezją włoską oraz zaczął tłumaczyć „Odyseję" Homera. Kiedy powstał tygodnik „Wiadomości Literackie", stał się jego stałym współpracownikiem.

W 1920 roku wyszły jego poezje religijne „Hymny", które miały trzy wydania. Podobnie trzy wydania, a raczej trzy wersje, miał jego przekład „Odysei". W roku 1935 ukazała się powieść „Sól ziemi", czterokrotnie wydana przed wojną, a tłumaczona na 13 języków, rozeszła się szeroko po świecie. W roku 1963 w Paryżu wyszedł duży tom esejów „Orfeusz w piekle".

Do nagród polskich w roku 1943 doszło wyróżnienie przez *American Academy of Arts and Letters* oraz przez *National Institute of Arts and Letters*. W roku 1971 Niemiecka Akademia Poezji i Języka wybrała go członkiem korespondentem.

Mówi się, że trudniej dzień jeden przeżyć, niż napisać księgę. Powiedzenie to nie stosuje się do sytuacji Wittlina, chociaż niejedna w przeszłości wymagała odeń wielkiego hartu ducha. Księgę napisał i to świetną i odważną, bo pacyfistyczną, kiedy moda była na mocarstwowość. Ale „Sól ziemi" miała być tylko pierwszą częścią zamierzonej trylogii o „Cierpliwym piechurze". Szkice i rękopisy dalszych części

zaginęły w Europie, kiedy autor próbował wydostać się za granicę. Pisarz usiłował później zrekonstruować brakujące partie. Nie było to łatwe: upłynęły lata, zawodziła pamięć, nie pozwalały na fuszerkę stawiane sobie surowe wymagania. Nie doczekaliśmy się kontynuacji.

Sądzę jednak, że to, co posiadamy, winno nam wystarczyć, by twórczość Wittlina ocenić wysoko. Na jakości jego powieści poznali się wytrawni krytycy i znakomici pisarze, m.in. Tomasz Mann. Także współcześni uznali rzecz za klasyczną sagę o żołnierce. Zoya Yurieff wydała po angielsku monografię pisarza „Joseph Wittlin" (Twayne, New York 1973). Autorka ze znawstwem i przekonaniem mówi o Wittlinie jako o powieściopisarzu, poecie, eseiście i tłumaczu, pragnąc przybliżyć go czytelnikowi anglosaskiemu.

W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji.

W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Józef Wittlin, Paweł Łysek, Halina Wittlin, Florian Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

Wittlin przyjął nas (byłem w towarzystwie profesora i pisarza Pawła Łyska i jego bratanka Jana) z wielką życzliwością. W gabinecie urządzonym ze smakiem i utrzymanym we wzorowym ładzie gospodarz usadził mnie na honorowym fotelu. Wnet zaopiekowała się nami pani Halina czuwająca nad królestwem Wittlinów z pietyzmem i dyskrecją. O czym tam nie rozmawialiśmy, by niczego nie pominąć! Teraz pamięć tej wizyty, poświadczonej fotografią z serdeczną dedykacją, potwierdza ogólnie przyjętą opinię o Wittlinie – człowieku łatwo dostrzegalną w jego dziele. Już w 1928 roku Paweł Hulka-Laskowski nazwał go „poetą pokoju i miłości". Także określanie mianem poety cichych tonów podnosi jego delikatność, nieśmiałość, obawę przed zgrzytem, przerysowaniem czy zgoła hałasem. We wszystkim, co wyszło spod jego pióra, widać odpowiedzialność artystyczną i moralną.

Nie wydało mi się niczym dziwnym nieodparte pragnienie, by wychodząc z jego mieszkania ująć gospodarza za rękę i pocałować ją z szacunkiem. Wittlin wyprowadził nas na korytarz. Kiedy zamknęły się drzwiczki windy, zwierzyłem się z mojego wzruszenia towarzyszom. Okazało się, że czuli to samo.

Nie bywa się codziennie u znakomitego pisarza i pięknego człowieka.

Wywiad z prof. Florianem Śmieją na temat Józefa Wittlina:

http://www.cultureave.com/o-jozefie-wittlinie/

Wytrwać – za siebie i za naród

Florian Śmieja

Tymon Terlecki, 1965 r., fot. Aleksander Janta, arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Wszyscy, którzy pamiętamy Tymona Terleckiego (1905-2000), cieszymy się, że ukazała się jego książka zatytułowana przez edytorów „Emigracja naszego czasu”.

Jest to wybór publicystyki skierowanej do emigracji walczącej w 1945 roku, do tych Polaków, którzy nie akceptowali porządku pojałtańskiego i odmówili powrotu do PRL-u zyskując epitety „niezłomnych”, czy „nieugiętych” względnie „pachołków imperializmu”.

Jerzy Święch, tego redaktora „Polski Walczącej” i dwukrotnego prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie, nazwał ideologiem polskiej emigracji i wizjonerem jej przyszłych dróg. Wespół z Niną Taylor, drugą żoną Terleckiego, wydał celniejsze teksty jego publicystyki, których konspekt pod tym samym tytułem leżał gotowy od 1947 roku.

Artykuły prezentowane w książce zgrupowane są pod nagłówkami: „Emigracja polska wczoraj i dziś”, „Emigracja i kraj”, „Kultura i literatura”, „W kręgu NiDu”. W aneksie znajdziemy m.in. tekst uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w sprawie niedrukowania w PRL-u.

Terlecki już w 1945 roku apelował do Polaków, którzy znaleźli się na Zachodzie o powzięcie wielkiej decyzji. Był to czas, kiedy wydawało się, że po klęsce Niemiec zacznie się kolejna wojna, wojna o kulturę. Terlecki radzi:

> *Heroizm emigracji polskiej 1945 roku jest prosty: wytrwać w kulturze europejskiej na przekór jej samej. Wytrwać – za siebie i za naród.*

Sygnalizuje tytaniczność czekających zmagań wskazując – jak to czynił później Zbigniew Herbert w poezji – na przymus wierności.

> *Jeśliby kultura europejska miała nie wytrzymać nadchodzącej próby, paść w tym kataklizmie – musimy być przy niej, aby jej dać rozgrzeszenie za najcięższą winę, jaką na siebie wzięła.*

Tą winą było wydanie Polski komunizmowi, przyzwolenie na „mord cywilizacyjny na Polsce”. W odpowiedzi zaś na pokusę tych naszych rodaków, którzy roztaczali ułudną perspektywę możliwości działania w potężnym obozie rozciągającym się od Łaby do Władywostoku, Terlecki wołał:

Musimy natężać polskość, polskość wiązać z europejskością.

Nazwisko Terleckiego łączymy często z uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z 1947 roku, by pisarze żyjący poza Polską nie ogłaszali swoich utworów w kraju pozbawionym wolności słowa. Aczkolwiek nie był on jej inicjatorem, to złożył pod nią swój podpis i w artykułach jej bronił:

Zdawaliśmy sobie wyraźnie sprawę ze straszliwej ceny, jaką każdemu z nas przyjdzie zapłacić, z ogromu wyrzeczenia osobistego, z ciężaru nienawiści i zniesławienia, który trzeba będzie dźwignąć.

Podjęliśmy to z całą świadomością. Doskonała pisarka, która przez łagry sowieckie przeniosła nieskażoną prawość ludzką i pisarską, powiedziała wtedy z gorzkim męstwem: „Jesteśmy pisarzami bez czytelników, ale tak trzeba. To nie jest na zawsze”.

„Tak trzeba. I to nie jest na zawsze” – konkludował Terlecki

Teraz mamy kompendium jego wypowiedzi i teksty dokumentów, słów gorących i euforycznych deklaracji. Terlecki, znany nam jako człowiek teatru i wyśmienity jego znawca i krytyk, przez pierwsze dziesięciolecie emigracji zapisał pamiętną idealistyczną kartę stając się gorącym orędownikiem politycznej emigracji dźwigającej moralną odpowiedzialność za Polskę w opinii świata, emigracji, która nie miała doczekać momentu powrotu, choć nigdy zeń nie zrezygnowała.

Tymon Terlecki przy pracy, Londyn 1957, fot. arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Za udostępnienie archiwalnych fotografii Tymona Terleckiego dziękujemy pani Ninie Taylor-Terleckiej.

Redakcja

Tymon Terlecki, Emigracja naszego czasu. Wyd. UMCS, Lublin 2003 r.

Historia literatury hiszpańskiej

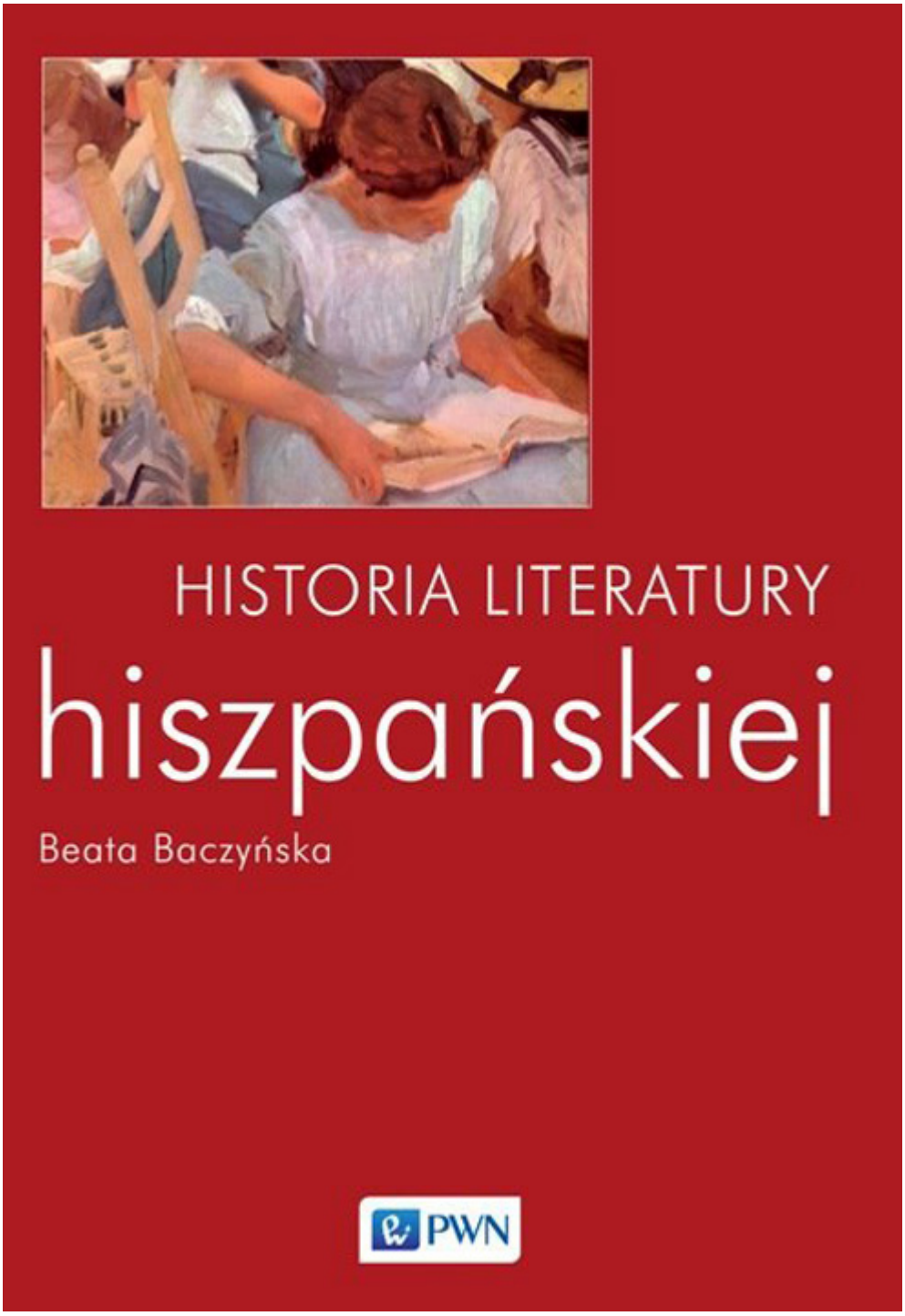

prof. Beata Baczyńska

Beata Baczyńska

Kultura hiszpańska stała się w ostatnich latach bardzo żywo obecna w Polsce. Lawinowo rośnie liczba uczących się języka hiszpańskiego, coraz częściej na listach bestsellerów pojawiają się hiszpańskojęzyczni autorzy z Półwyspu Iberyjskiego, coraz większa liczba Polaków zna z autopsji Hiszpanię, jej fascynujące pejzaże i zabytki. W tych okolicznościach powstanie syntezy dziejów literatury hiszpańskiej, która pokaże

jej związki z kulturą europejską i światową, rozjaśni uwikłanie w historię, pozwalając dostrzec jej specyfikę na tle innych literatur w Europie, była naglącą koniecznością. Tym bardziej, że jedyna polska *Historia literatury hiszpańskiej* Marii Strzałkowej, określona w podtytule jako zarys (Wrocław 1966), ma niemal pięćdziesiąt lat (to opracowanie zostało wznowione w pierwszym tomie *Dziejów literatur europejskich* pod red. Władysława Floryana, Warszawa 1977), a dwutomowy podręcznik Ángela del Río w przekładzie Kazimierza Piekarca i Kaliny Wojciechowskiej (*Historia literatury hiszpańskiej*, Warszawa 1970 i 1972) powstał w 1948 roku (polskie tłumaczenie oparto o drugie poszerzone wydanie z 1963 roku).

Historia literatury hiszpańskiej pisana u progu drugiej dekady XXI wieku musi zakładać, że jej czytelnik szuka wszechstronnego i interdyscyplinarnego opisu zjawisk literackich, które układają się w dynamiczną całość, uwzględniającą nie tylko następstwo w czasie autorów i dzieł oraz charakterystykę gatunkową prezentowych utworów, lecz również usytuowanie literatury w życiu jednostki (twórcy i odbiorcy) oraz społeczności (władza i instytucje kultury; zmieniające się formy przekazu). Pojawiają się w niej wątki polskie, nawiązujące do historycznych i literackich kontaktów pomiędzy Polską i Hiszpanią, które od zawsze interesowała polskich romanistów i hispanistów (Edward Porębowicz, Józef Dzierżykraj-Morawski, Władysław Folkierski, Stefania Ciesielska-Borkowska, Maria Strzałkowa, Gabriela Makowiecka, Krystyna Niklewiczówna, Zofia Karczewska-Markiewicz, Florian Śmieja, Teresa Eminowicz-Jaśkowska, Urszula Aszyk, Kazimierz Sabik, Eugeniusz Górski, Piotr Sawicki i in.). Na podobieństwo doświadczeń historycznych Polski i Hiszpanii zwrócił uwagę, jako pierwszy, Joachim Lelewel, pisząc *Historyczną paralelę Hiszpanii z Polską w wieku XVI, XVII i XVIII w.* (powst. 1820, wyd. 1831). Po roku 1989 chętnie porównywano proces przemian polityczno-społecznych, jakie zachodziły w Polsce, do okresu transformacji ustrojowej w Hiszpanii po 1975 roku. Tego typu paralele, jakkolwiek nie są wolne od uproszczeń, pomagają dostrzec istotę zjawisk zachodzących w historii, kulturze i literaturze Hiszpanii. Ważnym punktem odniesienia są także motywy i mity literackie (Cyd, don Juan, don Kichot), dzieła i twórcy hiszpańscy (Miguel de Cervantes, Lope de Vega, Pedro Calderón de la Barca, Miguel de Unamuno, José Ortega y Gasset, Federico García Lorca) należący do kanonu literatury światowej. Poświęcono im najwięcej uwagi, wchodząc w polemiczny dyskurs z utrwalonymi – często stereotypowymi – sądami. Hispanistyka

jest bowiem obecnie jedną z prężniejszych dziedzin studiów filologicznych i kulturowych w skali światowej. To nowe opracowanie dziejów literatury hiszpańskiej – napisane dla polskich czytelników – odwołuje się do najnowszego stanu badań, uwzględniając szerokie spektrum zjawisk literackich w ich antropologicznym, historycznym, socjologicznym i kulturowym uwarunkowaniu.

Jeszcze jedno ważne uściślenie – prezentowana *Historia literatury hiszpańskiej* skupia się na tekstach, które wpisują się w dziedzictwo języka hiszpańskiego, zwyczajowo i historycznie identyfikowanego z językiem kastylijskim. Problem sam w sobie stanowi literatura hiszpańskiego średniowiecza, składająca się na wyjątkową – kulturową i językową – mozaikę. Mieszkańcy Hiszpanii porozumiewali się (i porozumiewają nadal) również w innych językach – galisyjskim w Galicji, baskijskim w Kraju Basków, katalońskim w Katalonii, Walencji i na Balearach. Każdy z tych języków wykształcił własną kulturę i piśmiennictwo, wchodząc w relacje z literaturą powstającą w języku hiszpańskim, czyli „kastylijskim" (*castellano*). Ten zespół zjawisk odpowiada dynamice zestawienia pojęć centrum i peryferia, które na przestrzeni dziejów Hiszpanii przybierało różne formy. Debata dotycząca wyznaczników hiszpańskiej tożsamości narodowej lub składających się nań odrębnych tożsamości, tworzących wielokulturową i językową rzeczywistość Hiszpanii stanowi, począwszy od XIX wieku, wciąż żywy nurt hiszpańskiej refleksji. „Niekastylijskie", czyli literatury „mniejsze" Hiszpanii, w tym opracowaniu nie mogły zostać potraktowane w sposób wyczerpujący: kwestie związane z literaturą języka katalońskiego, galisyjskiego i baskijskiego przywoływane są wówczas, gdy wpisują się w główny nurt dziejów literatury hiszpańskiej.

Układ książki odpowiada chronologicznemu wykładowi historii literatury hiszpańskiej, który dla potrzeb tej syntezy został poszerzony o przedstawienie głównych tendencji, jakie obserwujemy w literaturze najnowszej, ze szczególnym uwzględnieniem autorów cieszących się w Polsce popularnością. Najobszerniej nakreślono obraz literatury Złotego Wieku, a właściwie dwóch „złotych wieków", bo termin *Siglo de Oro* w hiszpańskiej historiografii obejmuje XVI i XVII wiek oraz *Edad de Plata*, czyli „srebrnej epoki" hiszpańskiej kultury, której granice zakreślają dwie traumatyczne daty – rok 1898 (utrata ostatnich kolonii zamorskich) i 1936 (wybuch wojny domowej). Te dwie epoki należą do najświetniejszych i najbardziej twórczych w dziejach kultury hiszpańskiej. Jako że ta synteza jest adresowana m.in. do

studentów kierunków humanistycznych, dla których język hiszpański jest jednym z języków wykładowych, w tekście została uwzględniona oryginalna terminologia w odniesieniu do gatunków i form literackich nawet wówczas, gdy istnieją polskie ekwiwalenty (np. romans łotrzykowski / *novela picaresca*; romans pasterski / *novela pastoril*; romanca / *romance*). W przypadku tłumaczeń tytułów dzieł przyjęto jako zasadę, iż w nawiasie podany jest polski tytułu zapisany kursywą, jeśli dzieło zostało przetłumaczone na język polski, np. *Cantar de mio Cid* (*Pieśń o Cydzie*), którego przekład autorstwa Anny Ludwiki Czerny ukazał się w Krakowie w 1970 roku, czy Jorge Manrique *Coplas que fizo por la muerte de su padre* (*Strofy na śmierć ojca*); ten drugi utwór przytoczony został w przekładzie Zygmunta Wojskiego, który wyraził zgodę na ogłoszenie fragmentów niepublikowanego jeszcze tłumaczenia tego poematu, jednego z arcydzieł późnego średniowiecza w Hiszpanii. Tytuły podane w wersji polskiej bez kursywy odnoszą się do dzieł, które nie zostały przetłumaczone na język polski, np. Antonio Muñoz Molina *Todo lo que era sólido* (Wszystko to, co było trwałe, 2013). Cytowane w tekście tłumaczenia, o ile nie podano inaczej, sporządzone zostały przez autorkę.

Książka przeznaczona jest dla wszystkich zainteresowanych fenomenem kultury hiszpańskiej, podejmuje wątki obecne w pracach coraz liczniejszego grona polskich hispanistów, działających w kraju i zagranicą. Intencją autorki jest bowiem przybliżenie nowego spojrzenia na kulturę Hiszpanii, uwolnienie jej od ciążących na jej obrazie stereotypów, tym bardziej, że jest to kraj, który – pomimo geograficznego oddalenia – postrzegany jest od dawna jako kulturowo i mentalnie bliski Polakom i Polsce. W dobie powszechnego dostępu do informacji i tekstów w formacie elektronicznym w portalach internetowych, na czele z wzorcową hiszpańskojęzyczną biblioteką wirtualną – *Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes* (www.cervantesvirtual.com), ta *Historia literatury hiszpańskiej* chciałaby stać się kompendium, które pozwoli zrozumieć długofalowe procesy, jakie determinowały i determinują wyjątkowy potencjał kulturowy literatury tworzonej w języku hiszpańskim na Półwyspie Iberyjskim. Tekst każdej części uzupełnia wybór bibliografii. Uwzględnione zostały w nim opracowania książkowe w języku polskim i hiszpańskim, a w uzasadnionych wypadkach również w innych językach (angielskim, niemieckim, francuskim), oraz wydania polskich przekładów omawianych tekstów literackich (w wyborze). W części bibliograficznej – wzorem najnowszej,

zaplanowanej na dziewięć tomów, historii literatury hiszpańskiej, która powstaje pod redakcją José-Carlosa Mainera (*Historia de la literatura española*, Barcelona 2010-) – umieszczone zostały również tematyczne portale, prowadzone przez zespoły badawcze w Hiszpanii.

Autorka dziękuje wszystkim – bliskim, przyjaciołom i kolegom, którzy wspierali ją w trakcie przedłużającej się pracy nad książką, w sposób szczególny prof. Florianowi Śmieji, nestorowi polskich hispanistów oraz Josepowi Antoniemu Ysern i Lagarda, tłumaczowi polskiej literatury na język kataloński, za uważną lekturę jej pierwszej redakcji i cenne wskazówki.

Wstęp do „Historii literatury hiszpańskiej”

Beata Baczyńska, „Historia literatury hiszpańskiej”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2014.

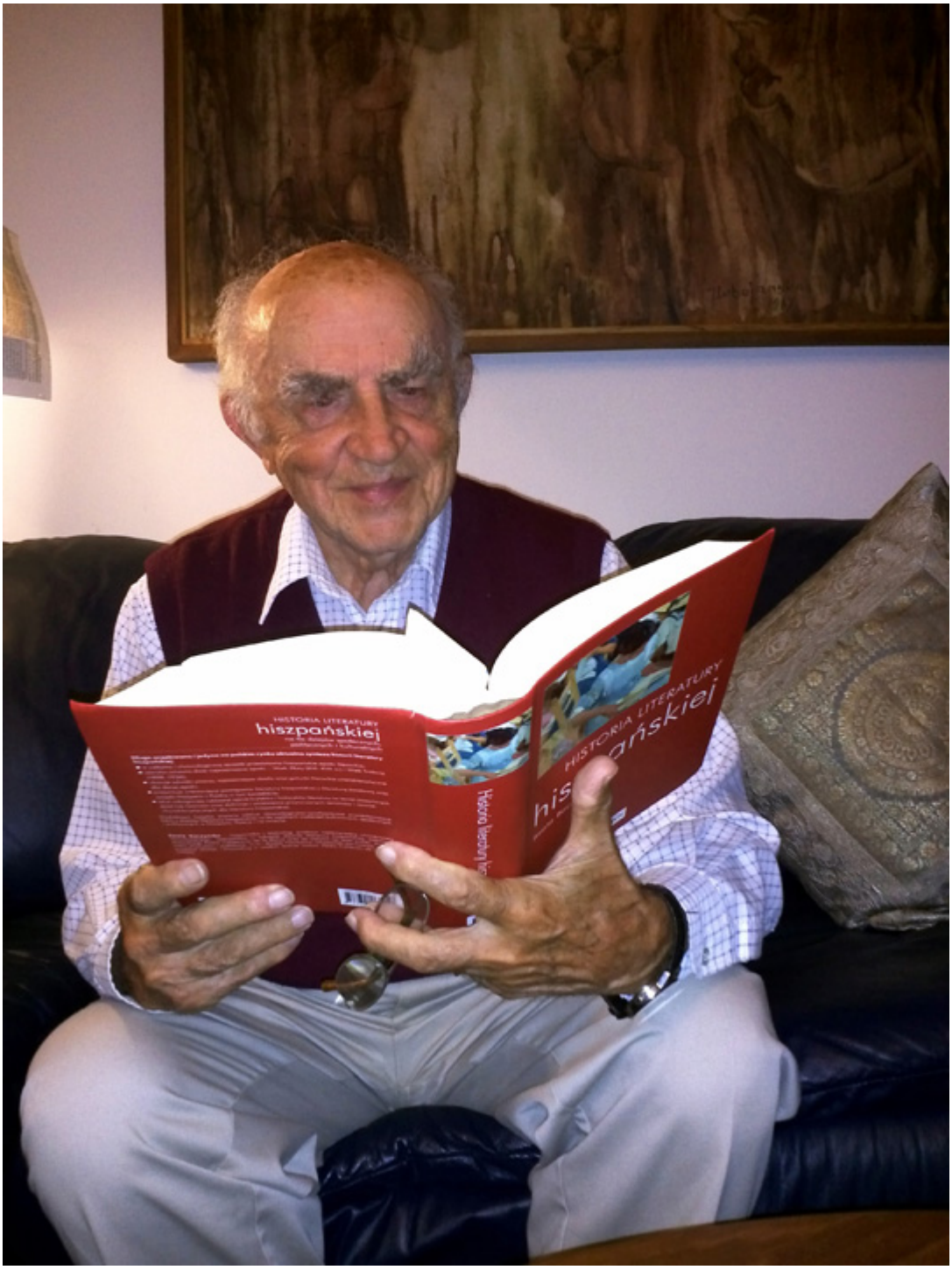

Prof. Florian Śmieja z książką swojej byłej doktorantki.

Profesor Beata Baczyńska odbierała kiedyś doktorat z rąk prof. Floriana Śmieji. Po latach, w 2015 r. wręczała doktorat honoris causa swojemu byłemu promotorowi. Na spotkaniu w Dolnośląskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu wspominała swoje pierwsze spotkanie z profesorem Florianem Śmieją w 1989 roku w Madrycie:

> *To był właściwie przypadek. Podczas konferencji na Uniwersytecie w Madrycie, po wykładzie prof. Gabrieli Makowieckiej rozmawiałyśmy po polsku i*

wtedy podszedł do nas prof. Śmieja. Znałam jego nazwisko z licznych publikacji – był legendarną postacią dla studentów hispanistyki w Polsce. Dla mnie był wówczas kimś mitycznym, niematerialnym, a tu nagle zobaczyłam człowieka z krwi i kości. Okazało się ponadto, że moje zainteresowania badawcze są bliskie panu Profesorowi i od niego właśnie dowiedziałam się, że rękopisy sztuk, które mnie interesują, znajdują się w Ossolineum. Przekazał mi swoje kwerendy.

Na skutek zmian politycznych i dzięki prof. Sawickiemu udało się zaprosić Profesora na wykłady, które stały się regularne. Dzięki Niemu formacja moja i moich kolegów dała zupełnie inne, nowe owoce. (B. Lekarczyk-Cisek, Dotykanie świata w: „Spotkajmy się we Wrocławiu", nr 1/34-2017).